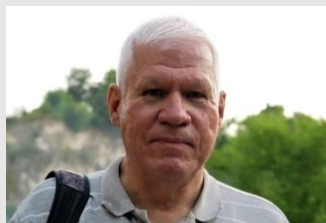


Krakowski Akademicki Klub Alpinistyczny

Komunikat Klubowy Nr 11/marzec 2023 r.



Witam,

W tym numerze:

Najpierw w cyklu „Różne góry, różne lata” - wybrane zdjęcia i notatki z przeszłości – z życia członków i sympatyków Krakowskiego AKA. Na uwagę zasługuje film ze spotkania w skałkach przed 25 laty – każdy może go teraz obejrzeć.

W części drugiej zamieszczamy obszernie wspomnienie – to bardzo osobiste opowiadanie - retrospekcja Andrzeja Marcisza.

Lektura jest pasjonująca – nie wymaga rekomendacji. A do tego dołączone przez Andrzeja zdjęcia...

W kolejnej części wracamy nieco bliżej współczesności: Ela Jodłowska opisuje ilustrowane świetnymi zdjęciami alpejskie przygody naszej klubowej ekipy z 2008 roku.

Na koniec pokazujemy gdzie można znaleźć wszystkie wydania naszych Komunikatów – jest szczegółowa instrukcja.

Nadal bardzo prosimy o przesyłanie wszelkich materiałów – wspólnie redagujemy nasz ekskluzywny, bo przeznaczony dla osób związanych ze środowiskiem wspinaczkowym biuletyn.

Wasze zdjęcia, opisy, relacje pozwolą nam nie tylko emocjonować się przeszłością, ale też porównywać to co było, z tym co dzieje się teraz.

Kolejne wydania Komunikatów – już w przygotowaniu...

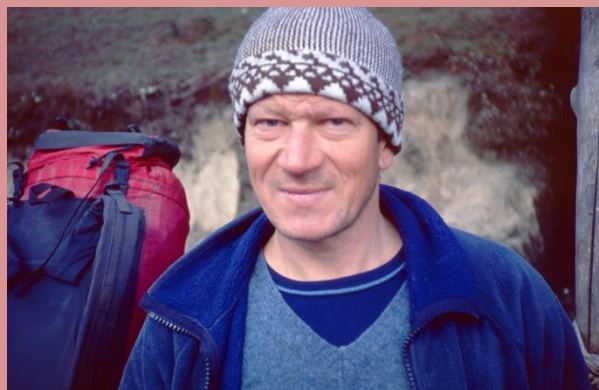
Czytajcie – ale też piszcie...

(WM)

Andrzej Samolewicz zaprasza wszystkich chętnych na swoją prelekcję pt.

"55 lat w górach i jeszcze żyję"

która odbędzie się w lokalu Klubu Wysokogórskiego Kraków przy ul. Pędzichów 11/10A, w środę 29 marca 2023 r o godzinie 18:30.



Różne góry, różne lata...

Poniżej parę zdjęć z dawnych czasów – jednak czas leci nieubłaganie. Przesyłajcie swoje wspomnienia i zdjęcia – nie trzymajcie ich w szufladzie. Mogą być zestawy zdjęć, albo chociaż pojedyncze fotki lub notatki. W razie potrzeby Redakcja zeskanuje wasze negatywy albo slajdy itd.



51 lat temu.

Fot. M. Bała 1972 r. Wyprawa Krakowskiego Akademickiego Klubu Alpinistycznego w Hindukusz. Stanisław Jaworski i Marek Rusinowski forsują rzekę w drodze do Doliny Zebaku.



41 lat temu.

Fot. arch. A. Marcisz 1981 r. – relacja Andrzeja:

Po zakończeniu sezonu tatrzańskiego w 1981 roku, pojechalśmy na międzynarodowe zawody we wspinaniu na czas na Węgry. Tak prezentowała się reprezentacja Polski w strojach „dowolnych”, jakie wówczas były w dostępności. Choć wszyscy oczywiście w nieśmiertelnych „korkerach”. Od lewej: Krzysztof Pankiewicz, Andrzej Marcisz, Aleksander Lwow i Janusz Nabrdalik.



38 lat temu.

Fot. J. Niemczyk 1984 r, Zdjęcie pokazuje publiczność podczas Otwartych Akademickich Mistrzostw Krakowa we wspinaczce skałkowej. Wspinano się m.in. na Brandysowej Skale oraz Fiali, a miłymi, dodatkowymi widzami byli uczestnicy odbywającego się akurat w Dolinie Będkowskiej spotkania Pokutników. Zawody wygrał Andrzej Marcisz przed Wojtkiem Brylą i Jackiem Zaczkowskim. Kto rozpozna najwięcej twarzy ?...

Patrzcie też na zdjęcie ze strony 39.



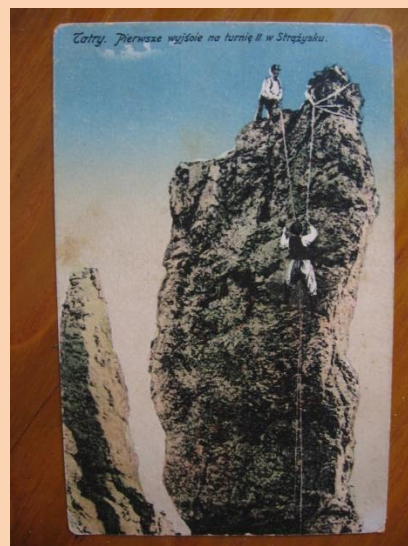
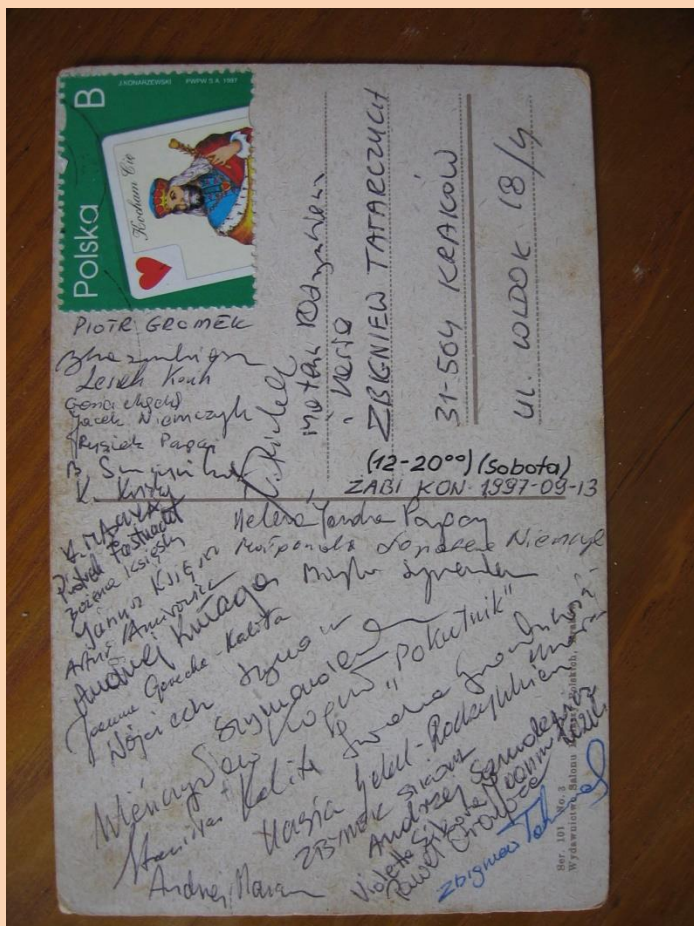
37 lat temu.

Fot. arch. D. Śmigielski 1985 r. Danek podczas schodzenia z Mont Blanc po przejściu filara Freney w zespole Danek Śmigielski – Joanna Derda – Jacek Jasiński.



36 lat temu.

Fot. arch. D. Śmigielski 1986r. (?). W masywie Mont Blanc od włoskiej strony pod schroniskiem CAI Monte Bianco. Od lewej: Milena Karlińska, Krzysztof Dziubek, Marek Olczyk i Jacek Jasiński.



25 lat temu.

13 września 1997 r. pod Żabim Koniem w Dol. Kobyłańskiej odbyło się rodzinne spotkanie taterników. Piotr Gromek nakręcił unikalny 25-minutowy film z tego zdarzenia i wyraził zgodę na jego udostępnienie klubowiczom. To wspaniale, że możemy dzisiaj oglądać postacie i rozmowy sprzed lat. Dzieciaki podrosły, a niektórych uczestników tego spotkania już nie ma wśród nas – to naprawdę jest poruszające...

Zbyszek Tatarczuch udostępnił Redakcji kartkę pocztową z tego spotkania z podpisami uczestników – skan powyżej.

Aby obejrzeć film wystarczy wykorzystać link do portalu You Tube:

<https://youtu.be/oSR9v97yZ48>

Najwygodniej jest uruchomić film poprzez naciśnięcie myszką linku w mailu z tym Komunikatem.

Podziękowania dla Piotrka Gromka, Zbyszka Tatarczucha oraz Danki Śmigielskiego, który skoordynował udostępnienie tych materiałów naszym czytelnikom.

Polski Grzebień - na nartach Doliną Białej Wody – wędrowka retrospektywna.

Autor: Andrzej Marcisz.



Opowiadanie napisane w 2017 r dla jednego z górskich portali



Fot. J. Mrugacz, Dolina Białej Wody widziana z Podhala.

Zdecydowanie mógłbym o sobie myśleć, że jestem urodzonym wspinaczem. W żadnym wypadku nie mogę tego powiedzieć o jeździe na nartach. Tym bardziej o bardzo modnej od kilku lat również w Polsce odmianie narciarstwa określanego skituringiem.

Około roku 1987 kupiłem sobie jednak taki komplet, z myślą o wspinaczkach zimowych w Alpach i Kaukazie. Królowały wówczas legendarne Silveretty, mocowane do nart z dziurką na szpicy. Jednak życie moje potoczyło się innym torem, wpadłem w machinę rodzącego się sportu wspinaczkowego. Narty z tymi wiązaniami przestawiałem z kąta w kąt i do dzisiaj wyglądają jak „nówki nie śmigane”.

W 2006 roku byłem zimą w Dolomitach ze znajomymi, wielkimi pasjonatami narciarstwa. Łukasz, jeden z nich, namówił mnie na turę na Marmoladę – sam nigdy nie chodził w rakach – mówił – wyprowadź mnie tam a ja poprowadzę cię na nartach!



Taki już jestem, lubię ciekawe wyzwania i szybko dobiliśmy dealu. Pożyczyłem stosowne narty i poszliśmy. W większości na nartach, pod koniec troszkę się wspinając weszliśmy na wierzchołek Marmolada Punta di Penia. Kiedy spojrzałem w kierunku zjazdu, do dzisiaj dokładnie pamiętam co powiedziałem – ”Łukasz, ty jesteś teraz w domu, ale ja mam przechłapanie”!

Zjechałem. Łukasz wywiązał się z zobowiązania, ale wydało mi się to bardzo niebezpieczne i zdecydowałem, że wolę wspinanie, a narty w wersji wyciąg/trasa.



Fot. A. Marcisz, Łukasz Zieliński kuluarze na pn ścianie Marmolady.

Kiedy poprzez wędrówki tatrzańskimi grzaniami związałem się z firmą Salewa, kupiłem topowe buciki Dynafit Tlt6 do mojego „dawnego kompletu z silverettami. Moja żona śmiała się, że, pasują do niego jedynie kolorystycznie – faktycznie, miałem kanarkowo żółte „kredki”- Fischer Skitour, 195 cm długości ! Na wszelki wypadek zabrałem te narty do rekomendowanego serwisu w Krakowie na ulicy Halczyna. Charyzmatyczny szef serwisu, legenda polskiego skituringu rozwiął wszelkie moje obawy – „masz pan niezniszczalny sprzęt – sam takich wiązań używam do dziś. Wiązania w takim stanie to zupełny rarytas. Dam panu nowy klej na foki i na tym zestawie będzie pan jeździł jeszcze latami!”

Miałem lekką nadzieję, że powie, że to złom i będzie powód do zakupu czegoś nowszego. Tak, utwierdziłem się, że na tych nartach na pewno da się bezpiecznie podchodzić.

W Jurgowie na stoku śmigałem po pięć razy w górę i dół. Moje narty wzbudzały na stoku duże zaciekawienie. Byłem gotowy, by pójść gdzieś w Tatry. Akurat Kacper Tekieli zamieścił w necie notkę, że w Białej Wodzie są niezłe warunki narciarskie, i spod Polany pod Wysoką zjechał na nartach na Łysą Polanę praktycznie nie odpychając się kijkami.

Pojawiła się szansa na powrót Białą Wodą w sposób, którego nie będę przeklinał - nigdy nie lubiłem ani tego podejścia, a już w czasie powrotów był on dla mnie prawdziwą katorgą.

Z Łysej wystartowałem jeszcze po ciemku, chciałem robić zdjęcia Grani Tatr, a zapowiadał się piękny dzień. Szybko się okazało, że na tych nartach wcale mi się tak szybko nie podchodzi. Ale nie martwiło mnie to wcale, przystawałem i robiłem zdjęcia, próbowałem rozpoznawać znane mi ścieżki. Minałem lodospady, które obecnie stały się prawdziwą mekką wspinania lodowego, ze względu na krótkie podejście i bliskość polskiej strony. Kilka lat temu również wkręciłem się w lodowe wspinanie – postęp technologiczny w sprzęcie do lodu, który nastąpił sprawił, że wspinanie lodowe przeżyło nieprawdopodobny bum, co w połączeniu z nową dyscypliną wspinaczkową nazywaną drajtoolingiem czyli wspinaczką skalną przy pomocy czekanów, stworzyło możliwości na szybkie i stosunkowo bezpieczne pokonywanie wielkich ścian zimą. Ale o tym opowiem może przy innej okazji.



Fot. M. Koszałka, Lodospad Ukryty.



Na Cisówkach z Marcinem Koszałką

Doszedłem na wielką polanę z leśniczówką po lewej stronie. Przede mną rozpoznawałem zarysy ścian Małego Młynarza i Młynarczyka.



Fot. A. Marcisz, Polana Biała Woda zimą.



Fot. M. Kasperczyk, Polana Biała Woda latem.

Wspinałem się na tych ścianach za młodu – kultową Kurtykówkę, pierwszą drogę określaną jako trudniejszą niż skrajnie trudno (VI+) robiłem w czerwcu 1980 roku z Jaśkiem Świdrem.



Fot. J. Świder, Na drodze Lipki-Święckiego stanowiącej wariant do Filara Birkenmajera na południowej ścianie Kieżmarskiego Szczytu nieśliśmy ze sobą sprzęt, choć nie uznaliśmy za konieczne związanie się.

Na Małym Młynarzu mam też swoją drogę, zrobioną z Leszkiem Kozikiem – nazwaną przez nas „Cosi Piccola – Taka Mała”. Rozwiązywała środek północnej ściany niższego wierzchołka.



Fot. A, Marcisz, Północno-wschodnia ściana Małego Młynarza.

Od początku mojego wspinania miałem w sobie chęć wytyczania nowych dróg – miałem to szczęście, że zaczynając się wspinać miałem za partnerów wybitnych wspinaczy, którzy zaszczyli mi takie podejście do eksploracji wspinaczkowej. Ryszard „Riko” Malczyk, zawsze mi tłumaczył, że oczywiście trzeba powtarzać uznane klasyki, ale także próbować przechodzić klasyczną wspinaczką drogi dotąd hakowe. Najważniejsze jest jednak wyszukiwanie nowych rozwiązań – Riko był w tym prawdziwym mistrzem – w końcu jako pierwszy klasycznie przeszedł ścianę Kazalnicy Mięguszwieckiej. Riko wywarł bardzo duże piętno na moje pojmowanie wspinania. Dlatego, kiedy pierwszy raz kiedy w 1980 roku przechodziłem z Jasiem Świdrem pod ścianą niższego wierzchołka Małego Młynarza, od razu wypatrzyłem możliwość wspięcia się środkiem płyt jego ściany północnej.

Młodemu pokoleniu czytelników, należy się w tym miejscu wyjaśnienie. Mimo, że Mały Młynarz i Młynarczyk znajdują się w słowackiej części Tatr (dawniej Czechosłowackiej) nigdy nie szedłem wspinąć się na tych ścianach z Łysej Polany. Polscy wspinacze chodzili przez zieloną granicę: pod Małego Młynarza przez Przełęczkę pod Żabią Czubą i Skoruszową Przełęcz, pod Młynarczyka „przez Wantę”, pod Galerię Gankową przez Białczańską Przełęcz Wyżnią lub Rysy. Takie były czasy, o tych ścianach mówiło się nawet, że są to „polskie ściany”, tyle że położone na Słowacji. Potwierdzeniem są wykazy nowych dróg, przebytych tam przez Polaków. Wśród pierwszych zdobywców odnajdziemy nazwiska polskiej elity wspinaczy na przestrzeni całego XX wieku.



Fot. A. Marcisz, Charakterystyczny profil wschodniej ściany Młynarczyka.

Na Młynarczyku wspinałem się dwukrotnie, jeszcze w 1979 roku. Latem tamtego roku, doświadczony Tadek Skrzyszowski zaproponował mi wspinaczkę na drodze Kowalewskiego. Dzisiaj z tego przejścia, bardziej pamiętam podejście – pierwsze w życiu przekroczenie granicy państwa przy Wancie. Tadek na szczęście znał je dobrze, co nie znaczy jednak, że odbyło się ono na spokojnie! Również samo podchodzenie pod ścianę w terenie określanym jako: bajki z mchów i paproci!

Na ostatnią wspinaczkę tamtego lata wybrałem się na Młynarczyka z Władkiem Vermessy. Stanowiliśmy wtedy zespół dwóch szalonych małolatów, którzy nie wykazywali respektu do mitycznych ścian, na których wcześniejsze pokolenia wisały dniami i nocami. Rysiek Malczyk, z którym dużo się też wspinałem na początku tego sezonu, bardzo rekomendował mi spróbowanie drogi o nazwie Szewska Pasja, wariantem, którym przeszedł ją wraz ze świętej pamięci Wojtkiem Myszkowskim w kwietniu 1976 roku. Wojtek Myszkowski był w opinii Ryśka Malczyka wielce utalentowanym wspinaczem. Jego imieniem nazwana jest jedna z najbardziej popularnych ścianek w Dolinie Kobyłańskiej! Niestety nie poznałem go osobiście, znam go głównie z historii tragicznego wypadku, który miał miejsce na Kazalnicy – Wojtek Myszkowski wraz ze swoim partnerem spadli do podstawy ściany. Z wypadkiem tym związane jest powiedzenie „szybka dwójka”, które funkcjonowało w środowisku taternickim a określało styl wspinania z lotną asekuracją.



Fot. A. Marcisz, Jedna z najpiękniejszych zerw tatrzańskich – wschodnia ściana Młynarczyka.

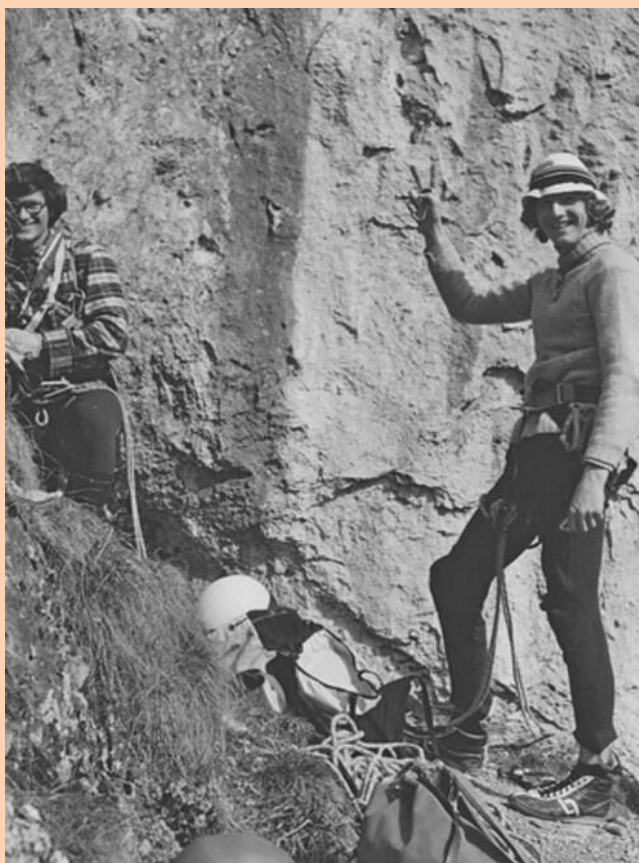
Ostatniego dnia sierpnia 1979 roku to ja byłem przewodnikiem „przez zieloną granicę”. Startowaliśmy z Poronina, gdzie Władek ma rodzinny dom, wybudowany jeszcze przez jego dziadka - znanego architekta krakowskiego - Karola Stryjeńskiego (projektował m.in. schronisko w Pięciu Stawach Polskich i zakopiańską skocznię Krokiew). Pod Wantę skoro świt podwiózł nas kuzyn Władka, Marcin Syrzystie, z którym podróż zawsze pozostawała niezapomnianym przeżyciem ze względu na rajdową profesję. Wtedy, można było dojeżdżać na Włosienicę samochodem, gdzie był parking. Prosiłem go, aby nas wyrzucił nieco wcześniej – ale jak to u rajdowca – zahamował z piskiem opon niemal przy leśniczówce. Z duszą na ramieniu, schodziliśmy do Doliny, snując wizję, że na pewno już na nas czekają bo leśniczy dał cynk! Ale udało się, „Szewską Pasję” przeszliśmy, choć nie do końca klasycznie tak jak chcieliśmy. Władek na prowadzeniu jednak przytrzymał się dwóch haków, ja na drugiego przeszedłem co prawda klasycznie, ale „odhaczenia drogi” nie mogliśmy sobie zapisać!

Na Młynarczyka wróciłem już tylko raz w życiu. Z Leszkiem Bednarzem chcieliśmy zimą 1980 roku zrobić drogę „przez Badył”. Tym razem podchodziłem pierwszy raz po „katolicku” z Łysej Polany”. Niestety, mieliśmy potężne plecaki ze sprzętem na kilka dni wspinania, a trafiliśmy na śnieg powyżej kolan. Podejście pod ścianę zajęło nam cały dzień i po pokonaniu pierwszego wyciągu w ogromnym opadzie śniegu, podjęliśmy decyzję o wycofaniu. Być może dlatego, zraziłem się tak skutecznie do tej Doliny, gdyż w drodze powrotnej złapaliśmy jeszcze biwak. Tamtą wyprawę, do dziś pamiętam jako morderczą walkę ze śniegiem w dolinie, która wydawała się nie mieć końca.

Rok 1981 zaczęliśmy z Tomkiem Klimczykiem wyśmienicie – zrobiliśmy pierwsze zimowe przejście Hematyówki na **Raptawickim Murze** a 4 kwietnia przeszliśmy jako pierwsi klasycznie Szare Zacięcie na **Raptawickiej Turni** – stała się wówczas najtrudniejszą drogą w **Tatrach Polskich** – trudności oceniliśmy na „VIII-” – była to inauguracja tego stopnia w Tatrach.

Kolejny mój pobyt w Białej Wodzie należał do równie egzotycznych.

W 1981 roku w środku lata wróciłem z Kaukazu z obozu PZA. Były to ciężkie czasy PRL-u dla nas wszystkich. W Kieżmarskiej był obóz mojego klubu, do którego postanowiłem dołączyć. Wiem, że dla wielu młodych osób, które to teraz czytają, może się to wydać niewiarygodne. Jednak, kiedy obóz się kończył chcieliśmy wszyscy przenieść się na tabor do Morskiego Oka. W Polsce, jedzenie było na kartki, sklepy puste. Na Słowacji, nie było takiego problemu, szczególnie, że mieliśmy duże dofinansowania klubowe. Nie pamiętam już dokładnie, ale chyba Jacek Kozaczekiewicz – Koza, zaproponował, aby kupić dwa duże plecaki żarcia i przemycić je przez granicę – bo oficjalnie przecież nam tyle jedzenia nie przepuszczą. Na granicy w Łysej – na której kontrola należała do szczególnie złośliwych, zarówno po stronie polskiej jak i Czechosłowackiej, zawsze rozpakowywano nam plecaki do spodu!



Fot. J. Świder, Jak widać, nie były to czasy polarów, softshelli, primaloftów i goretexów.

Kombinowaliśmy, którędy najłatwiej będzie iść z przemytem. Wszyscy byli jednomyślni, że najlepiej będzie przez Wantę z Łysej, jednak to był też najniebezpieczniejszy wariant – baliśmy się, że mogą nas zauważyć z przejścia granicznego, albo lotny patrol może nas wylegitymować na początku Białej Wody. Rozważaliśmy wariant, bezpieczny tzn szlak

kurierski przez Dolinę Cichą i Zawory, choć Koza – stary przemytnik odradzał, że to za daleko od Moka. Przez „wantę”, było krótko, szybko i lądowaliśmy od razu na taborisku. Plecaki miały ważyć po 35-40 kilogramów, dlatego wybraliśmy takie rozwiązanie. Koza zgłosił się na ochotnika, jak to on – zawsze honorowy. Ja znałem przejście, miałem parę do chodzenia z ciężkim worem po Kaukazie. Z Kożą tworzyliśmy zgrany zespół, który świetnie się bilansował, mimo, że był ode mnie dziesięć lat starszy -takie połączenie siły doświadczenia i entuzjazmu młodości! Przymyt zaplanowaliśmy w szczegółach! Grupa poszła zrobić zakupy. Później my przejęliśmy plecaki – były to dwa wielkie klubowe, przepastne wory na aluminiowych stelażach, których używali w klubie podczas wielu wypraw w Hindukusz. Wsiedliśmy do autobusu na Łysą Polanę jakbyśmy się nie znali. Tak samo po dotarciu, wszyscy poszli w kierunku przejścia granicznego, natomiast my poczekaliśmy chwilę i ruszyliśmy bez słowa w dolinę...

Udało się. Z perspektywy czasu nie mam czego żałować. Wysilek i ryzyko opłacało się a dzięki temu prowiantowi, dotrwaliśmy do końca wakacji, pod koniec których wraz z Jackiem Kozaczkiwiczem zrobiliśmy przejście sezonu – pierwsze klasycznie powtórzenie, Symfonii Klasycznej na Kazalnicy – drogę Zbigniewa Małolata Czyżewskiego, mającą największy ciąg trudności klasycznych, sięgających „VII-” uważaną wtedy za najtrudniejszą w Tatrach!

W okolicach 2000 roku, wybrałem się zimą na odświeżenie widoków w Białej Wodzie. Trafiłem wówczas na zupełnie inne warunki, droga doliną była wyludzona i trudno się po niej szło. Dreptałem w miękkich podejściówkach a zimowe buty, raki i dziabki niosłem w plecaku. Chciałem podejść pod Galerię Gankową, na której nigdy się nie wspinałem – ba!, nawet nie widziałem jej z bliska.

Na końcu Polany Biała Woda z lasu wyłonił się wielki jak niedźwiedź, ubrany na zielono leśnik. Od razu skojarzyłem jego sylwetkę. Nie czekając aż podejdzie do mnie, odezwałem się pierwszy: Pan to musi być słynny Martin, wiele o Panu słyszałem, że jest Pan tu postrachem wśród turystów i wspinaczy!

- A Pan to kto?

- Ja jestem takim emerytowanym wspinaczem, mam tu swoją drogę na Małym Młynarzu, chciałem zobaczyć ja to wygląda od tej strony. Dawniej, zawsze przychodziłem się tu wspinać wprost z Morskiego Oka!

Sam nie jestem taki mały, ale gość przed którym stałem był isticie olbrzymich rozmiarów. Spostrzegłem, że moje prawdziwe wyznanie troszkę go zatkało.

A jak wasze meno, zapytał wpatrzony w moje adidas, ślizgające się na zalodzonej powierzchni drogi.

- Andrzej Marcisz – odparłem

- I w takich butach idziesz w góry zimą?

Zdjąłem plecak i wyciągnąłem z niego moje kofluchy z overbootami berghausa, dwie dziabki Grivela i raki. Znów zobaczyłem zdziwienie w jego oczach, wziął do ręki jednego buta i z uznaniem pokiwał głową, że jemu też by się takie przydały.

Zapytał mnie czy wiem, że u nich obowiązuje zakaz chodzenia zimą?

- A ja na to, że przecież taternicy mogą się wspinać?

- Ale mówisz, że idziesz – ino pozrit?

- Ale sprzęt mam, jakbym coś ciekawego wypatrzył, jakiś fajny lód to może się wespnę!

- Ale jest po południu, niedługo będzie ciemno?

- Mnie to nie wadi, mam dobrą czołówkę!

I tak przekomarzaaliśmy się po „polsko-słowacku”, aż w końcu zrezygnowany machnął ręką i kazał mi iść!

Przy resztach światła dziennego, szedłem po stawie w Dolinie Ciężkiej. Było późno i ścianę Galerii oglądałem z oddali – zionęła monumentalną czernią, trudno było dostrzec jakiegokolwiek szczegóły topograficzne. Wiało grobowym chłodem i szybko opuściłem to miejsce. Na Progu Ciężkiej były trudne warunki, mało śniegu i bardzo duże zalodzenie, wolałem schodzić jeszcze na widno. Znów „przeklęta” dolina nie chciała się skończyć, przy świetle czołówki trudno mi było zorientować się gdzie dokładnie jestem.



Fot. A. Marcisz, Malý Ganek, z Gankową Galerią poniżej.

Moje skitourowe narty przesuwały się wolno, co chwilę był widok, który chciałem uwiecznić na matrycy aparatu. Warunki marzenie, lekki mroziak, błękitne niebo. Skrzypiący śnieg pod naciskiem nart. Powtarzający się miarowy dźwięk – szu, szu, szu. Dookoła piętrzące się strome zbocza. Granie, szczyty, które teraz znam. Dysponuje nowym, bardziej zaawansowanym technologicznie sprzętem fotograficznym – dlatego warto powtórzyć każdy kadr – a nóż będzie lepszy, wyraźniejszy i pokażą się na nim szczegóły, niewidoczne na wcześniejszych ujęciach. Do charakterystycznej wielkiej wany u stóp Młynarczyka docieram po przeszło dwóch i pół godzinie. Ale gdzie się spieszyć – cel główny - zrobić lepsze ujęcia Głównej Grani Tatr Wysokich niż posiadam – zazwyczaj z innych grani.



Zatrzymuje się tu dłużej, słońce oświetla wschodnią ścianę Młynarczyka, widzę jak siedzę na tej wancie z Władkiem Vermessy, Maciek Pawlik robi nam zdjęcie i jest rok 2011 – mówię – Władek zdajesz sobie sprawę, że ostatni raz, byliśmy tu razem w sierpniu 1979 roku! 32 lata temu – ja miałem wtedy niespełna 18 lat a Ty 20... A Władek: a my wciąż tacy piękni... a Maciek: choć wcale nie tacy już młodzi!



Fot. M. Pawlik, Pod wschodnią ścianą Młynarczyka, w drodze na Galerię Ganku.

Z Władkiem i Maćkiem jesteśmy przyjaciółmi na złe i dobre odkąd zaczęliśmy się wspinać. To blisko już czterdzieści lat wspólnych wspinaczek, wyjazdów, imprez. Tysiące wspomnień z różnych okresów życia. Podczas jednego ze spotkań z rodzaju „przy muzyce o sporcie” – uradziliśmy, że nie godzi się, aby tacy taternicy jak my – czytaj – WIELCY sic! nie robili ściany Galerii Gankowej. Od słowa do słowa (czytaj od drinka do drinka) staliśmy teraz pod Młynarczykiem.



Fot. A. Marcisz, Wschodnia ściana Młynarczyka, w tle masyw Wysokiej.

Podjęcie się ciągnęło, ale miało być najtrudniejszą częścią wyprawy. Przyspieszyliśmy, gdy złapałem się pierwszych chwytów na Filarze Puskasa, wiodącej prawym skrajem Galerii Gankowej – drogi, która jest najdłużej oświetlona, wiedzie wypukłą formacją i daje nadzieję wspinania się w suchej skale. Wspinało się nam świetnie i szybko zdobywaliśmy wysokość.



Fot. W. Vermessy, Humory dopisywały, szczególnie, że w pewnym momencie wana, na której stoję zaczęła się kołysać.

Przed wyjściem na samą Galerię trafiłem jednak na ściek wodny, skała była nadzwyczaj śliska. Musiałem trochę powalczyć – tatrzańska piątka jak ścianą płynie woda potrafi być wymagająca.



Fot. W. Vermessy, Na skraju Galerii nie tak łatwo założyć stanowisko, Władek szybko przelicza, że pętla założona jest za kamień, który waży więcej niż cała nasza trójka - musi wytrzymać i to wystarczające stanowisko, które działa w dół ;-) – Maciek śmieje się, że chyba takich trzech chudzielców jak my a nie takich trzech jak on!

Na Galerii skończyła się jednak sielankowa przygoda. Jakby historia lubiła się powtarzać. Maciek szybko opadał z sił. Mieliśmy jednak spory zapas czasowy, wszystko wydawało się pod kontrolą. Wolno schodziliśmy w kierunku Pustej Ławki. W połowie zejścia uradziliśmy, że ja zejść szybciej i zabiorę plecaki, które zostawiliśmy pod ścianą, a Władek będzie asekurował Maćka, który czuł się słabiej z minuty na minutę.

Czas biegł jakby szybciej, wróciłem spod ściany na Pustą Ławkę z plecakami, a ich jeszcze nie było. Już na Galerii skończyło nam się picie, wszyscy byliśmy spragnieni. Na szczęście chwilę później pojawili się Władek z Maćkiem. Zejście do Kaczego Stawu było nieprzyjemne, strome i śliskie trawy, później kruchy żleb i piarżysko. Nad Kaczym Stawem Maciek ślaniał się nieco na nogach, ale uzupełniliśmy płyny i wolno kontynuowaliśmy powrót. I znów ta „dolina jak Wołga”, bez końca... po 17 godzinach akcji górskiej wykończeniu, byliśmy przy aucie. Czuliśmy się znów szczęśliwi, jakby czas cofnął się o 30 lat...

W kolejnych latach, było mi dane wielokrotnie wracać Doliną Białej Wody, zazwyczaj po przejściach graniowych schodziliśmy na naszą stronę do cywilizacji. Jednak droga w dół, od Polany pod Wysoką do Łysej Polany ciągle pozostawała „gehenną” wrytą w podświadomości.



Fot. J. Mrugacz, Widok z Podhala na Polski Grzebień - przełęcz w lewej części zdjęcia. W prawą stronę – granią na Gerlach - biegnie słynna „Martinka”. W prawej części w bieli Batyżowiecki i Kaczy, w czerni Młynarz i grań w lewo schodząca do Młynarczyka.

Siedziałem pod wiatą obozowiska na Polanie pod Wysoką, pięknie obudowaną bryłami śniegu, które tworzyły jakby lodowy wigwam. Spokojnie popijałem gorącą herbatę z termosu. Rozmyślałem sobie, ilu znamienitych wspinaczy siedziało tutaj i kiedy zbudowano tę wiatę.

Warunki śniegowe, jakie panowały w górach były bardzo dziwne? Na nartach szło się wyśmienicie, bez nich wpadało się głęboko, nawet po pas w śnieg. Piąłem się rytmicznie do góry, w godzinę później byłem ponad Kaczym Stawem. Fotografowałem, choć ciągle myślałem, że lepiej będzie podejść wyżej, skąd zdjęcia będą lepsze – ale obawa, że jak nadejdzie jakaś chmura i w międzyczasie zasłoni ścianę, lub zmieni się oświetlenie na gorsze kazało powtarzać sekwencje zdjęć co chwila. Tak doszedłem do moreny nad Litworowym Stawem. Od razu przypomniałem sobie cytat z przewodnika Józefa Nyki: *widok stąd jest zdumiewający...* i po raz kolejny mogłem tylko wyrazić moje uznanie, dla wiedzy i pracy jaką włożył w opracowanie swych przewodników po Tatrach, dawny redaktor Tatarnika.



Fot. M. Przybysz, Bajkowy widok dookoła Litworowego Stawu.

Kaczy Mur, zimą wygląda stąd szczególnie imponująco. Filar Ganku, Koryto Rumanowego. Są ciągle w moich planach i może kiedyś znajdę na nie czas. Dla mnie to jeden z najpiękniejszych zakątków w Tatrach. Możliwe, że otoczenie Morskie Oka jest najpiękniejsze ale te tłumy! Kaczy Mur, kocioł Czarnej Jaworowej, otoczenie Zielonego Stawu Kieżmarskiego w moim rankingu są na szpicy.

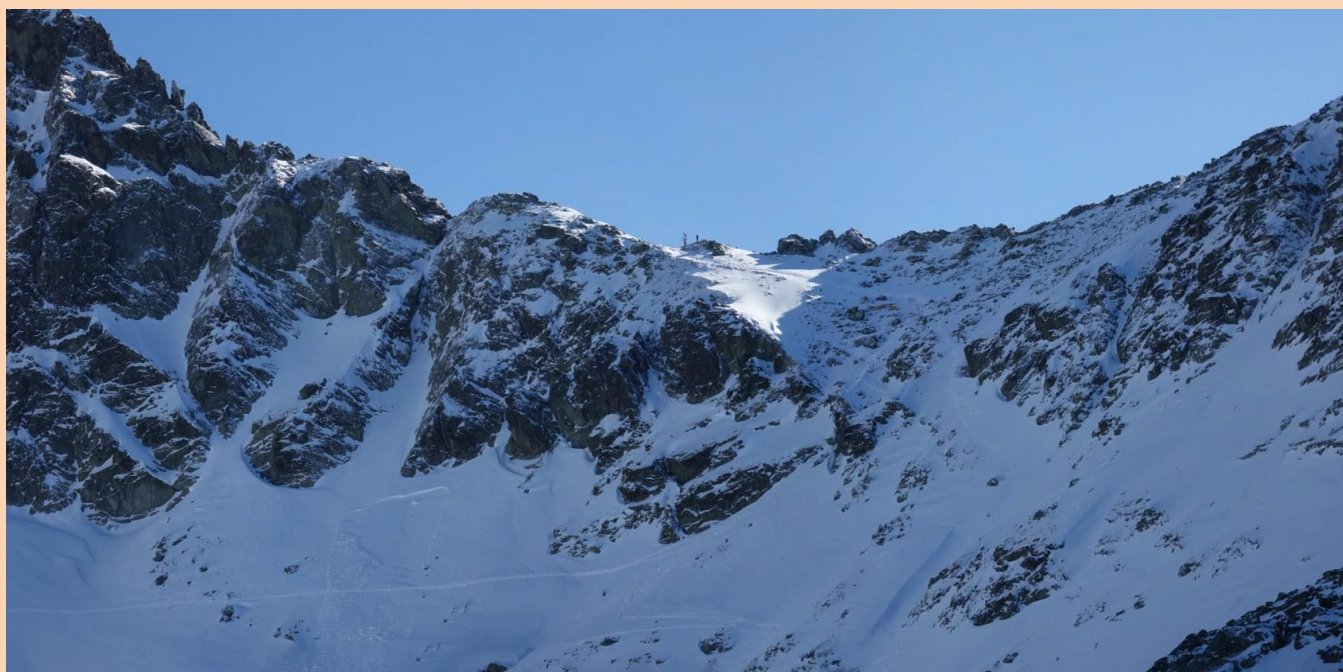


Fot. A. Marcisz, Kaczy Mur.

Robię tu dziesiątki zdjęć, kręcąc się dookoła wszędzie jest coś co trzeba uwiecznić: Grań Hrubiej Turni, Młynarz i jego grań od Młynarczyka, GGTW od Świstowego Szczytu po Rysy. Grań Litworowych Mnichów, (przeszedłem ją kilka tygodni temu).

Wyraźny ślad narciarski, prowadzi mnie dalej w górę. Zdziwiony jestem, że ktoś przede mną szedł na nartach niemal dwukrotnie szerszych i trudno mi zachować jego linię podejścia –

jakby bardziej na wprost. Na szczęście nie tylko ja miałem z tym problem i w stromszych miejscach były też węższe zakosy! Dochodzę do Zmarzłego Stawu. Widzę szerokie lawinisko na stokach poniżej przełęczy Polskiego Grzebienia.



Fot. A. Marcisz, Polski Grzebień widziany z górnej części Doliny Białej Wody. Na lewo stoki Małej Wysokiej, na prawo zbocza Wielickiego Szczytu. Widać ślad podejściowy na przełęcz, o którym pisze Andrzej, przecięty lawiną śnieżną.

Ponownie przychodzą złe wspomnienia. Dwójka moich klubowych kolegów Piotr Fastnacht i Janusz Księski, zimą 2001 roku postanowiła przejść się na wycieczkę Doliną Wielicką na Polski Grzebień i zejść Doliną Białej Wody. Przy zejściu nad Zmarzły Staw, obu porywa lawina. Piotrek płynie na plecach głową w dół i ma szczęście. Pęd lawiny przerzuca go na drugi koniec stawu gdzie zatrzymuje się na morenie. Lawinisko ma szerokość ze 200 metrów, wokół jest biało i nie widzi Janusza. Piotrek jest w tej sytuacji bezradny. Były to czasy, w których nie było jeszcze systemów ABS, detektorów lawinowych. Dzwoni po TOPR - śmigło przybywa bardzo szybko, za chwilę jest też drugi śmigłowiec ze Słowakami i oni przejmują akcję. Pies w kilkanaście sekund lokalizuje Janusza – jest pod zwałami śniegu na środku stawu. Niestety pod ciężarem lawiny załamała się tafla stawu, wydobywanie Janusza jest bardzo trudne, ryzykowne i trwa blisko godzinę. Był pod powierzchnią wody. Utopił się - nawet nie próbują go reanimować...

Kiedy siedziałem w Jurgowie, pisząc ten tekst, zadzwonił mój telefon – patrzę na wyświetlacz i widzę napis FASTNACHT. Odebrałem dziś sporo telefonów od starych kolegów i domyślałem się dlaczego dzwoni... Słyszę: Cześć czy wiesz, że Krzysiek Dziubek nie żyje? Znałem już szczegóły śmierci Krzyska, rozmowa przeszła w innym kierunku. Powiedziałem Piotrowi, że jego telefon jest dla mnie jakimś niewytłumaczalnym zbiegiem okoliczności, bo właśnie nosiłem się z zamiarem kontaktu z nim - chciałem poprosić go, aby narysował mi na zdjęciu miejsce, w którym zabrała ich lawina pod Polskim Grzebieniem.



Fot. M. Przybysz, Widok z Polskiego Grzebienia na północ i Zmarzły Staw na pierwszym planie.

Długo wpatruje się w rozległe strome zbocze pod granią, na której doskonale gołym okiem widzę charakterystyczny drogowskaz na Polskim Grzebieniu. Wcale mi się tam nie spieszy, jestem sam i przez cały dzień nie spotkałem nikogo. Postanawiam przejść kawałek granią w kierunku Hrubiej Turni z przekonaniem, że stamtąd będzie lepszy widok. Dochodzę do miejsca, gdzie Horska Służba postawiła stację meteorologiczno-lawinową.



Po powrocie do cywilizacji, napisałem do Tomka Nodzyńskiego – przewodnika i meteorologa w jednej postaci, ponieważ interesowała mnie umieszczona tam kamera? Szybko uzyskałem cenne informacje - na podstronie HZS, po zalogowaniu się (hasło i login jest podane: user!) uzyskuje się aktualne dane o pogodzie w Słowackich Tatrach z wielu miejsc, w większości są też kamerki internetowe. W ten sposób odkryłem wspaniałe narzędzie, pomocne w precyzyjnym planowaniu wyjść w Tatry. Bardzo polecam wszystkim tę stronę: <http://meteo.hzs.sk/vdv.php?p=1>

Na Polski Grzebień postanawiam wejść już na piechotę, zastawiam plecak i narty i błyskawicznie osiągnąłem przełęcz. Od wyjścia z Łysej Polany minęło jednak 7 godzin.



Fot. A. Marcisz, Na Polskim Grzebieniu o świcie w lipcu 2013 roku z Władkiem Vermessy przy rozpoznaniu Grani Tatr.

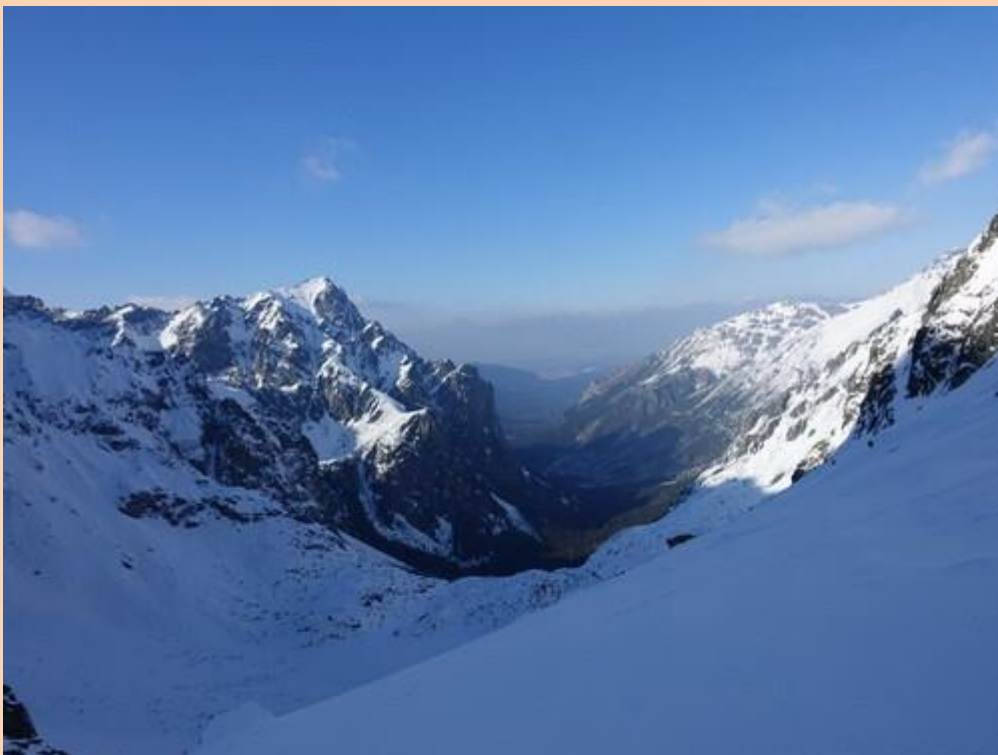
Znam stąd dobrze widoki, bateria w aparacie wyczerpała mi się już niżej, nic tu zatem po mnie. Pośpiesznie schodzę w dół, nad Stawem spotykam trójkę Słowaków idących na turach na Rohatkę.

Pierwszy raz droga w dół jest przyjemnością, powrót na Łysą Polanę zajmuje mi trzy godziny.

W ostatnim czasie, w celach wspinaczkowo - fotograficznych Dolinę Białej Wody odwiedziłem jeszcze pięciokrotnie. Odkryłem, że wracam tu z przyjemnością a nużący dawniej marsz dnem doliny rekompensują: spokój, cisza i wspaniałe widoki. Wszystko, zaledwie nieopodal zatłoczonej do granic możliwości drogi do Morskiego Oka.



Fot. A. Marcisz, Widok z okolicy Litworowej Przechyby.



Fot. A. Marcisz, Biała Woda znad Gerlachowskich Spadów.

Na zakończenie kilka słów o Krzyśku Dziubku. Trudno było znaleźć zdjęcia, z początków jego wspinania. Wielu kolegów szukało, ale w końcu coś mamy:

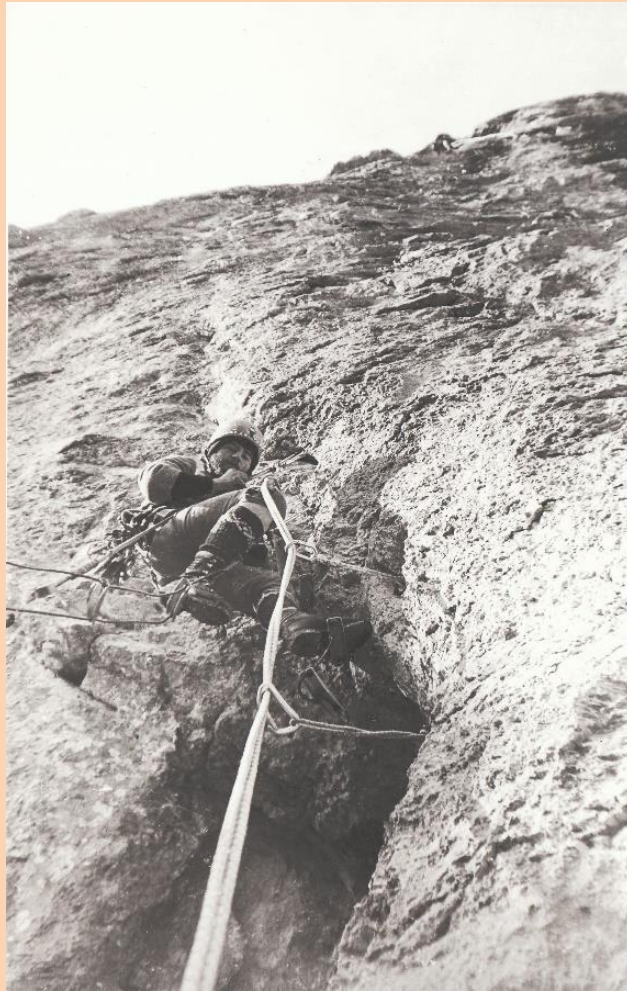


Krzysztof Dziubek (1959- 2017)



Fot. T. Pęski, Krzysiek Dziubek na początku drogi wspinaczkowej w Tatrach.

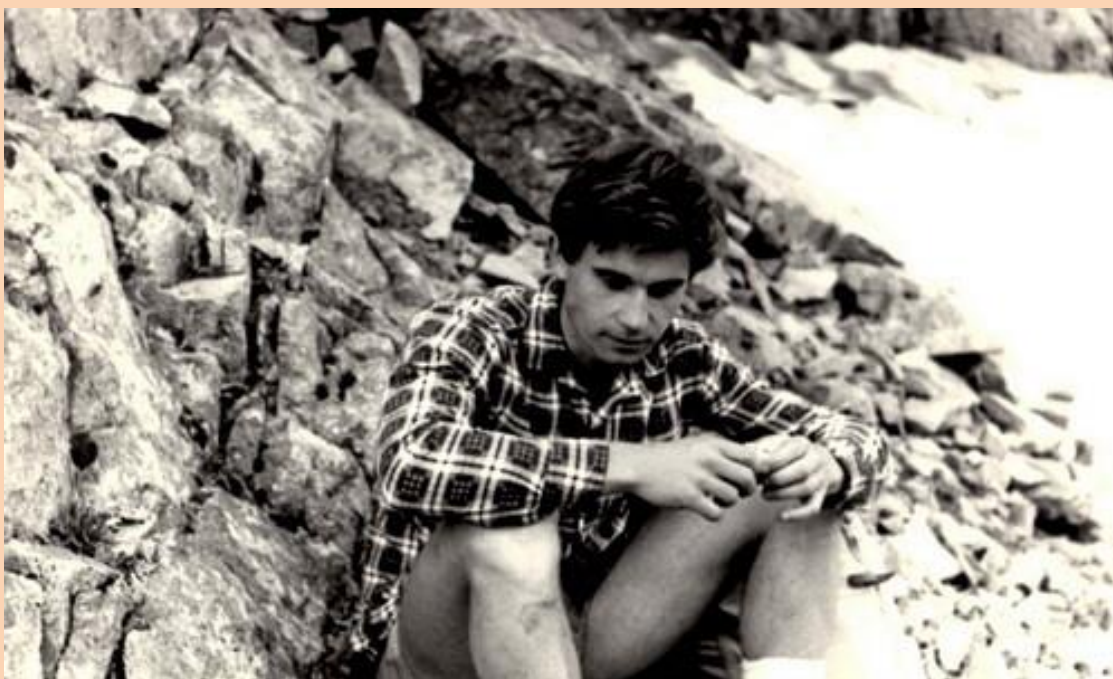
Krzysiek był ode mnie nieco starszy, choć później zaczął się wspinąć. Naszą krakowską grupę wspinaczy, która na początku lat osiemdziesiątych zaczęła przygody ze skałą, nazwano Nową Falą. Dzisiaj, niektórzy z nas, powoli dobijają do sześćdziesiątego roku życia. Duża część z tego pokolenia nie wspinają się już w ogóle, garstka rekreacyjnie, ale kilku może ciągle zachowuje formę, by robić cyfrę, która kiedyś uchodziła za „magiczne VI.5”. Część z nich odeszła na zawsze:



Fot. M. Mąka, Piotrek Lose zginął w 1980 r. w Alpach na Petit Dru, na tym zdjęciu wspina się na direttissime Raptawickiej Turni.



Fot. L. Kozik, Katarzyna Sapyta zginęła w 1983 r. na Aiguille du Verte - na zdjęciu pod Zjazdową Turnią.



Fot. J. Wiglusz, arch. J. Ostaszewski, Staszek Bagiński zginął w 1986 r. na Aiguille de Blaitière.



Fot. J. Ostaszewski, Janusz Księski zginął w 2001 r. lawinie pod Polskim Grzebieniem.



Fot. J. Ostaszewski, Staszek Kalita zmarł w 2000 r. śmiercią naturalną, miał problemy sercowe, na zdjęciu powyżej zawody pod Brandysową, czerwiec 1984 roku – od lewej - Ryszard Riko Malczyk, Andrzej Marcisz, Beta Stano, Staszek Kalita i Zbigniew Czyżewski Małolat



Fot. S. Bagiński, arch. J. Ostaszewski, Joanna Wiglus/Bagińska/Wolf/Szczerba zginęła w 2012 r. również w lawinie, na nartach w okolicy Kalatówek.



Fot. J. Ostaszewski, Lubomir Prokopek, zmarł na atak serca w Paryżu, gdzie był przedstawicielem LOT.

Teraz dołączył do nich Krzysiek Dziubek.

Był sprawnym wspinaczem skałkowym, choć zdecydowanie bardziej pociągały go Góry. Tutaj odniósł swoje największe sukcesy. Spektakularne było pierwsze polskie przejście drogi Maestriego „przez kompresor” z wejściem na sam szczyt śnieżnego grzyba Cerro Torre – jednej z najpiękniejszych gór na świecie, marzeniu chyba każdego alpinisty. Dokonał tego w zespole z Markiem Olczykiem, który kilka lat temu miał poważny wypadek samochodowy – nad ranem na drogę wybiegł mu jeleń – w wyniku zderzenia uszkodził mu kręgosłup. Marek do dzisiaj walczy, by móc zrobić kilka kroków o własnych siłach.



Fot. J. Ostaszewski, Marek Olczyk na Torre Venezia – Marku, życzymy Ci powrotu do zdrowia.

W 1987 roku Krzysiek został autorem pierwszego polskiego przejścia zimowego *Filara Croza*, drogą *Peters-Meier* na Grandes Jorasses (Masyw Mont Blanc). Dokonał tego wraz z Januszem Księskim i Leszkiem Kozikiem.



Fot. arch. L. Kozik, Czwórka z Croza: Leszek Kozik, Marek Olczyk, Krzysiek Dziubek i Janusz Księski.



Fot. arch. L. Kozik, 1987 r. Spotkanie w CAF w Chamonix po przejściu Croza zimą.

W górach Ameryki wspinał się z Jackiem Krawczykiem, razem robili między innymi pierwsze polskie przejście ściany Diamonda.

W Tatrach największym sukcesem Krzyśka, było zimowo-klasyczne przejście drogi *Łapińskiego - Paszuchy* na Kazalnicy wraz z Włodkiem Derdą, w czasach kiedy nie było takich czekanów jak dziś.

Co znaczą dziś te przejścia – pozostaną w kronikach historii polskiego wspinania. Dla nas, którzy znali *Dziubka* na co dzień, pozostanie w pamięci jako świetny kolega, pełen humoru kompan na wielu wyjazdach i imprezach klubowych.

Alpejskie opowieści.

Autor: Elżbieta Jodłowska



I. *Jak nie weszliśmy na Dom, (ale „przygoda była”)...*

Uczestnicy: Mirek Mąka, Helena Jordan-Papaj, Ryszard Papaj, Andrzej Maziarz (Buna), Jacek Niemczyk i ja.

W roku 2008 wybraliśmy się wspomnianą grupą na Dom (4545 m), najwyższy szczyt Alp „Szwajcarskich”. Dom jest najwyższym szczytem masywu Mischabel, trzecim co do wysokości szczytem w Alpach, drugim najwyższym szczytem w Szwajcarii i pierwszym co do wysokości szczytem Alp położonym w całości na terytorium Szwajcarii. Umówiliśmy się już tam na miejscu, czyli na polu namiotowym w Randzie. Bardzo dobrze przygotowane pole kampingowe, bez specjalnych luksusów, ale czyste i schludne, w niedalekim sąsiedztwie Zermattu. Jak już wszyscy się zebraliśmy, czyli Rysiek i Helenka Papaj, Buna, Jacek Niemczyk, Ja i Mirek, zasięgnęliśmy porady pogodowej, (było w miarę dobrze,) więc wyruszyliśmy. Najłatwiejszą drogą na Dom jest droga z Randy przez położone na wysokości 2220 n.p.m. schronisko Europahütte oraz wysokogórskie schronisko Dom (Domhütte) 2940 n.p.m., na przełęcz Festijoch (3720 m), po są czym dwa warianty szczytowe; granią albo bardziej kuluarem. Byliśmy w dobrej formie, więc jednym rzutem przeszliśmy przez schronisko Europahütte wprost do schroniska Domhütte. Pierwsza część podejścia, do schroniska Europahütte prowadzi przez urocze modrzewiowe lasy (które można nazwać modrzewiowym regłem, bardzo charakterystycznym dla alpejskich dolin, u nas w nie ma takich okoliczności przyrody). W drugiej części podejścia, na progu wysokogórskiej dolinki są sztuczne ułatwienia, drabinki i klamry i stalowe liny. Schronisko Domhütte jest urokliwe, kamienne i bardzo małe. Do ceny noclegu jest wliczone symbolicznie małe (ale zawsze!) śniadanie, serwowane przez obsługę w nocy, z całkowitym zrozumieniem sytuacji nocnego wyjścia zespołów wspinaczkowych. My też wychodziliśmy w nocy. W całkowitych ciemnościach, na wyczucie (oczywiście przy czołówkach), pokonaliśmy fragment kamiennej moreny i potem już śniegami w kierunku przełęczy. Bładym świtem byliśmy pod podejściem na przełęcz. Wschód słońca był śliczny, ale zaraz pogoda zaczęła się psuć. Zeszła mgła, zerwał się porywisty wiatr, Dom zasnuł się zupełnie. Zrobiło się ciemno i zaczął padać śnieg. W związku z tym, że nie znaleźliśmy drogi, wypatrywaliśmy śladów, ale ich nie było w mixtowym terenie. Na sam szczyt nie udało się nam wejść, robiła się coraz gorsza pogoda, zawróciliśmy znad przełęczy Festijoch (3720 m). Droga na Dom określana jest w skali alpejskiej jako PD (*peu difficile*), co oznacza, że jest drogą wspinaczkową. Nie chcieliśmy ryzykować podejścia w naprawdę złych warunkach. W drodze zejściowej mieliśmy przygody.

Byliśmy związani w zespoły dwójkowe, Papaje razem, Buna z Jackiem, ja i Mirek. Schodziliśmy z lotną asekuracją. Okazało się, że Mirek ma tępe raki, z u p e ł n i e tępe, na samym środku lodowca. Lodowiec Festi był szklisty i naprawdę lodowy jak kryształ, do tego uszczeliniony. W zejściu Papaje minęli nas prawie, nieomalże biegnąc. Na szczęście dopytali się o co chodzi. Z niedowierzaniem słuchali opowieści Mirka, który ledwo stał na lodzie, ja trzymałam się kamienia wystającego z lodu. Helenka pokazała nawet Mirkowi jak to pomyka w swoich rakach, nie kantując, tylko wbijając wszystkie zęby na całej powierzchni raków ☺. Na tę okoliczność jest nawet zdjęcie. Mirek blady jak ściana podziękował za dobre rady i kombinował jak tu nie pociągnąć mnie na amen w ziejącą czeluść (czoło lodowca). Wymyśliliśmy, że przetrwersujemy trochę na rozmiękłe partie lodowca, te wystawione do południowej strony i do słońca, które tutaj już przygrzewało i tymi rozmiękłymi partiami zejdziemy. Tak zrobiliśmy. Zajęło nam to więcej czasu. Reszta czekała na pierwszej kamiennej morenie. Mieliśmy jeszcze jedną przygodę. Rozmiękłe partie lodowca były pełne zdradliwych szczelin, wpadłam do jednej, na szczęście niezbyt głęboko i Mirek mnie wytaskał sapiąc w swoich tępych rakach okrutnie. Po zejściu wszystkich z lodowca, Dom odstłonił się i było pięknie....Niestety często tak bywa, znamy to dobrze.



Fot. R. Papaj, modrzewiowe lasy na podejściu do Schroniska Europahütte. Od lewej: Mirek, Ela, Buna.



Fot. E. Jodłowska, Buna na ostatniej drabinie na progu schroniska Domhütte.



Fot. E. Jodłowska – klubowicze w jadalni schroniska Domhütte. Od lewej: Jacek, Buna, Ela, Mirek, Rysiek, Helenka.



Fot. R. Papaj, Nocne podejscie lodowcem: na zdjeciu od lewej Jacek, Buna, Ela i Mirek.



Fot. E. Jodlowska, Podejscie lodowcem pod przelecz Festijoch 3720 m. W tle Dom.



Fot. Mąka, Podejście na Festjoch c.d. Od góry: Jacek, Helenka, Rysiek i Ela.



Fot. E. Jodłowska, Na przełęczy Festjoch. Nietęgę miny z powodu pogarszającej się pogody. od lewej Helena, Rysiek, Mirek.



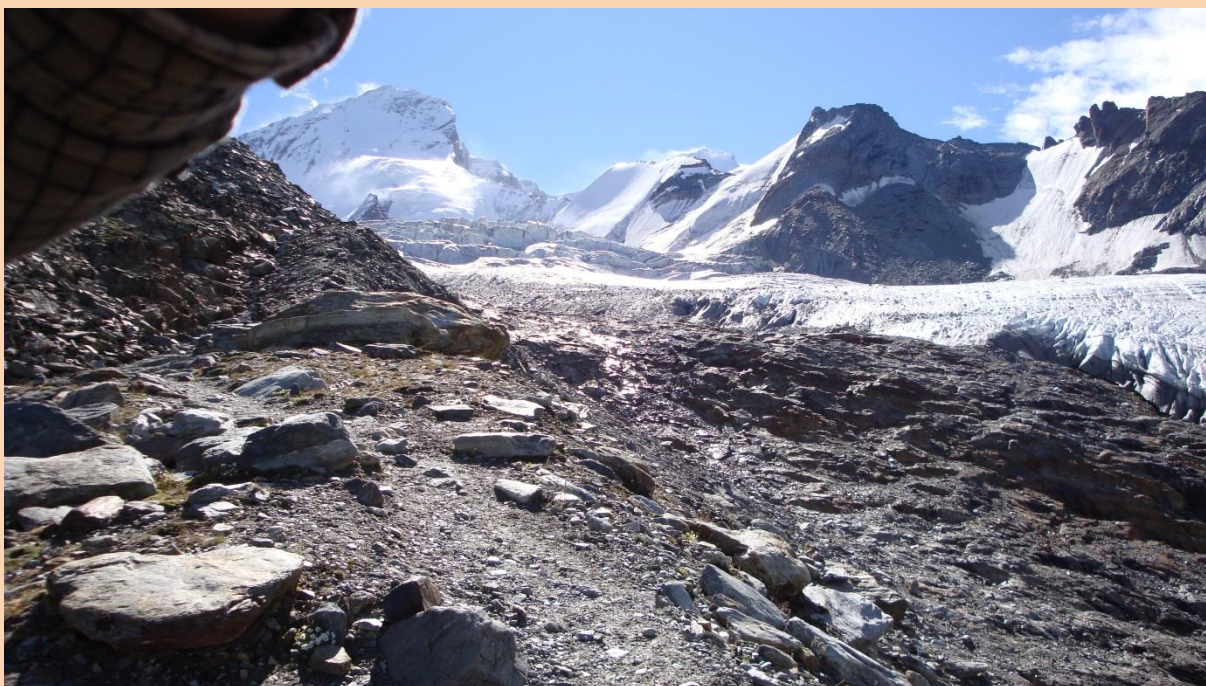
Fto. E. Jodłowska, Mirek odpoczywa po wyciągnięciu mnie ze szczeliny...



Fot. E. Jodłowska, Pełne szczelin, dolne partie lodowca Festi. Na ostatnim planie od lewej: Matterhorn 4478 m, w chmurach Dent d'Herens 4173 m, Tête de Valpeline 3799 m, Tête Blanche 3711 m, Unter Gabelhorn 3391 m, i ostatni od prawej (ucięty w połowie) Ober Gabelhorn 4062 m.



Fot. R. Papaj, Helena demonstruje spontanicznie jak Mirek ma się poruszać po lodowcu....☺



Fot. E. Jodłowska, Dom odsłonił się całkowicie po naszym zejściu z lodowca.



Fot. E. Jodłowska, Widok na Matterhorn z lodowca Festi.

II. Jak weszliśmy na Mont Blanc.

Uczestnicy : Elżbieta Jodłowska i Mirek Mąka.

Na pocieszenie po Domie pojechaliliśmy w dwójkę do Chamonix. Ulokowaliśmy się na kempingu, poczekaliśmy parę dni (niestety padało) na okno pogodowe i gładziutko weszliśmy na Mont Blanc (4810 m). Mirek dowiedział się w serwisie przewodników o pogodę i telefonicznie zarezerwował nocleg w Schronisku Gouter - Refuge du Gouter (3835 n.p.m). To było jeszcze stare schronisko, to terazniejsze funkcjonuje od 2014. Z tą wyprawą łączy się jeszcze jedna śmieszna opowieść:

Mirek wiedząc, że w schronisku Gouter koczują zawsze pełno ludzi, oczekujących na nocleg legalny lub półlegalny (bo oficjalnie, już wtedy, na podłogę nie przyjmowali), zarezerwował nam nocleg telefonicznie z wyprzedzeniem parodniowym. Jednym zamachem przeszliśmy dystans od ostatniej stacji kolejki (słynny *Tramwaj na Mont Blanc* czyli kolejka zębata z Chamonix do stacji Nid d'Aigle (2372 n.p.m.), skąd widać dobrze słynny lodowiec Mer de Glace, do Schroniska Gouter. Podchodząc, pominęliśmy schronisko Tête Rousse (3167 n.p.m.) Droga ta, jest jedną z najbardziej popularnych zwana też Droga Królewską, nie należy do szczególnie bezpiecznych. Główne ryzyko wiąże się z przekraczaniem Wielkiego Kuluaru Śmierci. Przekraczając kuluar byliśmy świadkami akcji ratowniczej, wypadki są tu bardzo częste, co chwila dosłownie. Kuluarem spadają kamienie jak bomby, wprost na głowy

ciasno w kolejce podchodzących ludzi. Najlepiej ten odcinek pokonywać w kasku. Gdy już przyszlismy do schronu Goutera, to tak jak przewidywalismy, zbity tłum tkwil na jadalni uniemozliwiajac jakiegokolwiek podejscie do recepcji, wiec spokojnie tkwilismy w tym tłumie scisnieni jak sledzie w beczce (to powiedzonko miało tutaj stuprocentowe zastosowanie). O planowanej godzinie okienko recepcji otwarło się i Pan Schroniskowy zaryczał: (aby przekrzyczeć gadający tłum turystów i wspinaczy) „Czy ktoś z państwa ma rezerwację?!!!, to proszę podejść”. Tłum zaszemrał ale nikt się nie zgłosił...Zanim Mirek coś wybąkał, bo byliśmy zmęczeni i nie zajarzyliśmy od razu, Pan Schroniskowy zaryczał: „Co tak stoicie jak barany! nie wiecie że trzeba rezerwować nocleg?!!!. Tylko Pan Maká jak widzę ma rezerwację, Jest Pan Maká?!!! (z akcentem na ostatnie „a”). Tłum ucichł i w tej ciszy Mirek nieśmiało potwierdził, że jesteśmy. Tłumek rozstał się trochę umożliwiając nam podejscie do okienka, a Pan schroniskowy zapoczątkował oklaski i owacje, skandując do ludzi: – *widzicie!? Tak macie robić!!!!* Dostaliśmy owacje na stojąco, bo wszak na luksus siedzenia nie było tutaj miejsca. Po zapłaceniu za nocleg dostaje się też przydział do określonego stołu z miejscówką do siedzenia właśnie, które to miejsca obowiązują w porach wydawania posiłków (czyli od 2 w nocy, przed zwyczajowym wyjściem na szczyt Mont Blanc) i zostaje się dopisanym do tablicy na jadalni, gdzie jest dokładny schemat tego miejsca do siedzenia (dobry pomysł). Wyszliśmy zaraz po 2 giej w nocy, aby nie podchodzić w kolejce wchodzących, gdyż zawsze się takie robią w sezonie w oknach pogodowych, i to był dobry pomysł, bo **luksusowo weszliśmy i zeszlismy !!!**, pogoda super, trochę wiało, ale bezwietrznie na tej wysokości prawie nie bywa. Na szczycie były zaledwie dwie osoby, resztę wchodzących - minęliśmy schodząc. W schronisku z powrotem byliśmy wczesnym popołudniem, ale nie ryzykowalismy zejścia jeszcze tego samego dnia, więc zeszlismy wczesnie rano następnego dnia wprost do ostatniej stacji kolejki, czyli Tramwaju na Mont Blanc.



Fot. M. Mąka, Ela na górnej stacji Tramwaju na Mont Blanc - Nid d'Aigle 2372 m



Fot. E. Jodłowska, Schronisko Tête Rousse 3167 m.



Fot. E. Jodłowska, Akcja ratownicza pod Wielkim Kuluarem.



Fot. E. Jodłowska, Jadalnia w schronisku Goutera



Fot. E. Jodłowska, Prycze w „starym Gouterze” (na górnych pryczach widać numery miejsc)



Fot. E. Jodłowska, Nocne wyjście na Mont Blanc około 2:30. Wychodzący pakują się na zewnątrz, w środku nie daliby rady – taki ścisk.



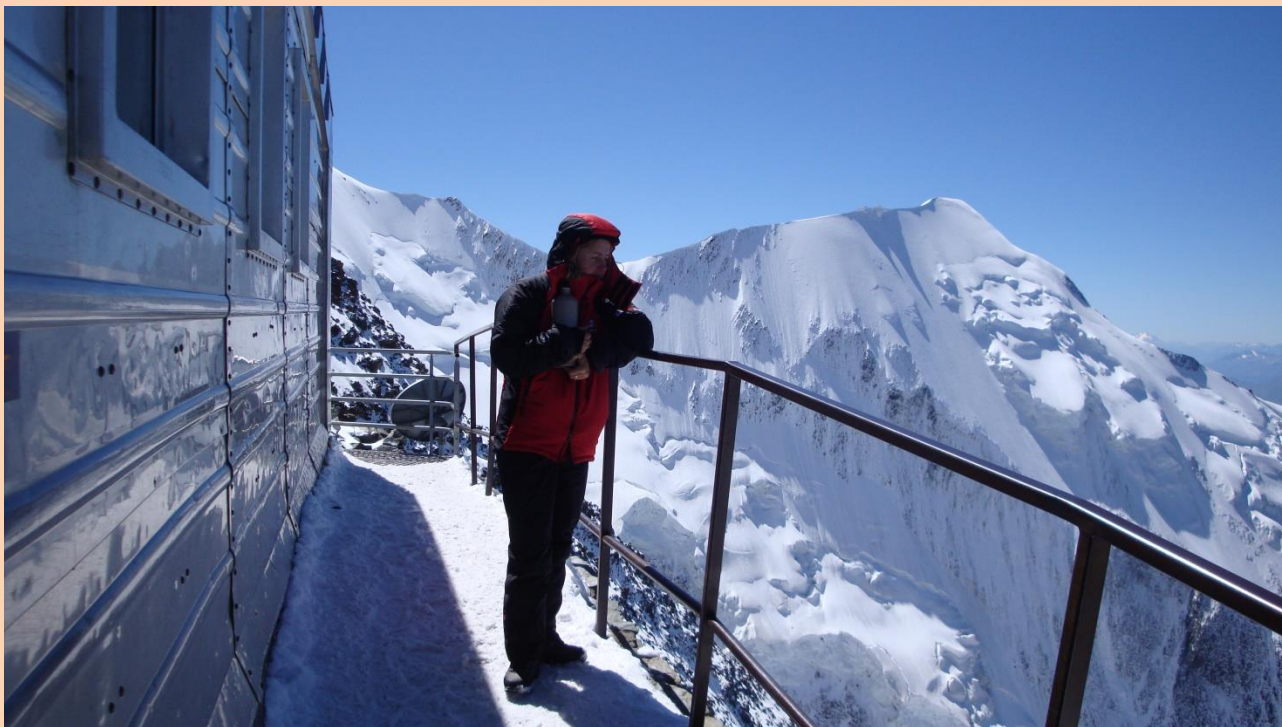
Fot. E. Jodłowska, Mirek pod kopułą szczytową Mont Blanc.



Fot. arch. E. Jodłowska, Na szczycie Mont Blanc - Ela Jodłowska i Mirek Mąka.



Fot. E. Jodłowska, Mirek na zejściu z Mont Blanc, za nim schron Vallot 4362 m.



Fot. M. Mąka, Ela przed schroniskiem Goutiera 3815 m, w głębi Mont Blanc.

Komunikaty Klubowe – dostępne na stronie „tatrzańskie granie” !

Na tej właśnie stronie umieściliśmy archiwalne wydania Komunikatów oraz oczywiście będziemy umieszczać kolejne wydania bieżące. W ten sposób czytelnicy będą mieli łatwy dostęp do naszego biuletynu.

Adres strony: <http://tatrzańskiegranie.info/kaka/>. Dla wygody w mailu z tym Komunikatem umieściliśmy link, który wystarczy nacisnąć myszką.

Strona należy do Andrzeja Marcisza, zaś jej administratorem jest Włodek Vermessy – a więc „sami swoi”☺. Oczywiście n a d a l będziemy do was rozsyłać Komunikaty mailem – tak jak dotychczas.

Czekamy na następne materiały – zdjęcia i dokumenty z życia Krakowskiego Akademickiego Klubu Alpinistycznego. W razie potrzeby możemy pomóc w ich przetworzeniu na nośniki cyfrowe.

Wyciągnijcie z szuflad zdjęcia sprzed lat i pokażcie za naszym pośrednictwem wszystkim klubowiczom. Spiszcie na kawałku papieru lub dysku komputera wasze wspomnienia. Zadzwońcie lub napiszcie do Redakcji Komunikatów.

Jeśli dowiecie się, że ktoś z waszych znajomych – członków lub sympatyków dawnego KAKA nie otrzymał tego wydania Komunikatów – dajcie znać, podając jednocześnie właściwy adres mailowy tej osoby. Osoby spoza klubu muszą otrzymać zgodę Redakcji na prenumeratę.

Szanujemy prawa autorskie osób, które udostępniają nam swoje zdjęcia i wspomnienia. Dlatego publikacja treści zawartych w Komunikatach Klubowych w mediach publicznych lub społecznościowych bez zgody Redakcji, bądź autorów i posiadaczy materiałów źródłowych jest zabroniona.

Pozdrawiamy wszystkich !

Wojtek Masłowski tel. 601-97-35-87 email w.maslowski@onet.eu

Zbyszek Płatek tel. 501-147-192 email : platek.z@wp.pl

Wojtek Szymendera tel. 695-696-361 email : wojtek_szymendera@onet.eu